

ROBERT WALTER.

Zemsta zamordowanego,

Na początku zmagani wojennych z zaborczym wojskiem francuskim, pewien wieśniak z okolic nadodrzańskich, zgrzytając zębami na swój nędzny los, opuścił młodą żonę, zniewolony wraz z pułkiem swoim wziąć udział w bitwie nad Jeną, gdzie naród musiał gorzko błęd swego rządu opłacić.

Widziano go w samym ogniu, a że się po kilku dniach do pułku swego nie zameldował, wpisano go na listę zabitych.

Oznajmiono fakt młodej jego żonie. Niezłe się jej działo we wdowieńskim stanie, a po skończonej żałobie, obejrzała się wnet za drugim małżonkiem.

Rzekomo zabity tymczasem znalazł możliwość wylizania się z silnie krwawiących, lecz niegroźnych ran i wraz z rozbitymi szczątkami swego pułku dostał się do niewoli francuskiej, skąd, po powrocie do zupełnego zdrowia i bojowej zdolności, został wysłany wraz z innymi towarzyszami niedoli na zażartą wojnę hiszpańską.

W ogniu bitew pociemniał, jak wypalony w piecu garnek — mróz, deszcz i słońce na skalę go przeżarły, nędza gorszą była od śmierci, a mimo wszystko cała jego wewnętrzna istota rwała się do życia.

Gdy wspinał się zapach swej roli ojczyzny, ciszę jodłowego lasu, ciepło młodej żonki — płomienną falą krew mu w żyłach płynęła.

Pod Kadyksem biwakowali nędzniejsi, od obleganych.

Udało mu się uciec wreszcie.

Nikt tyle nie wycierpiał — uniewinniał się w duchu.

Uciekł nocą, drżąc ze strachu i gorączki głodowej. Ale w oczach mu się śmiała ziemia i wioska rodzinna. W dzień krył się po lasach, wykopując pod śniegiem i błotem małe korzonki, które wraz z ziemią pożerał.

Pewnego razu — po długich tygodniach i miesiącach tęsknej tułaczki o głodzie i chłodzie — znalazł gniazdo z młodemi zającami. Łzy mu w oczach stanęły, ale... ukroczył głowy młodym stworzonkom i polknął krawę ciała.

Dotarłszy do niemieckiej granicy, przemknął się niepostrzeżenie i kiedy odetchnął ojczystym powietrzem, kolana mu się pod nogami ugęły. Jak pijany chwiejnym krokiem podążał ku swej wiosce.

Księżyc mroki nocy rozjaśniał, a zagonny lnu pachniały w polu, gdy ujrzał uspięne domostwo swoje.

Serce w piersi zamarało i jak senna mara stanął u progu. Kościstą pięścią uderzył w zamkniętą okiennicę, a dusza śmiać się lkać poczęła.

Żona jego otworzyła zielone żaluzje. U!

rzawszy w świetle księżycowym nieboszczyka, krzyknęła, jak nożem przebita i zemdlona, padła na ziemię.

Po godzinie siedzieli we troje przy tlejącym lucywie w miłości i nienawiści zastygli. Ten, który do domu powrócił — chciał swe dzieje opowiedzieć, nie było jednak wątku w jego beładnych słowach.

Tamtych dwoje, mąż i żona, co się kochali, zgrozą przejęci, pałali nienawiścią ku burzycielowi swego szczęścia i widząc życie swe rozbite, rozmyślali nad sposobem pozbycia się zmartwychwstałego upiora przeszłości.

Niebawem poczeli się waśnić z sobą i o swe prawa walczyć. Przybyły nie chciał się za próg swego domu ruszyć i skoro dawno niezaznany sen zmorzył, legł jak martwy u ogniska chaty, odkładając do następnego dnia ciężką przeprawę z intruzem.

Dwoje zakochanych, siedząc nieruchomo jak kamienne posągi nienawistnym spojrzeniem ogarniali skuloną postać śpiącego.

Jakkolwiek nie czuli winy w sobie — trwoga złoczyńców miotła ich sercami i nagle... znaleźli wyjście z sytuacji bez wyjścia.

Nikt we wsi nie widział przybysza. Nie żył w pamięci mieszkańców swej wioski rodzinnej i umarli nie powinni niepokoić żyjących...!

Kobieta, oplótlszy rękami ukochanego, coś mu tajemniczo do ucha szepotała. Bezwolny był w jej tkliwym uścisku. Złym czynem zgodził się szczęście swe okupić.

Siekiera zarabali śpiącego, a kobieta trupa jeszcze raz toporem zdzieliła... Pośpieźnie wpakowali ciepłe zwłoki do worka

który złożywszy na taczkę, cicho przewieźli przez wioskę precz, na odległość godziny drogi, ku Odrze, zbierając kamienie polne po drodze.

Srodze znużeni stanęli przy bagnistej łące. Zimnym potem okryci, włożyli kamienie do worka. Mężczyzna, głośno stękając, dźwignął przerażające brzemień na plecy i ciężkim krokiem ruszył przez mokradła.

Niebawem oburwie nabrzękło mu woda. Wtem kobieta wrzasnęła nieludzkim głosem: noga nieboszczyka, przedarłszy się przez zbutwiały worek, leżała na gołeni niosącego.

Otrząsnawszy się z wrażenia, podskoczyła, wsunęła nogę zpowrotem do worka i sięgnęła za sznurówkę na piersiach, oznajmiając ze śmiechem mężowi, że ma na szczęście grubą nitkę i igłę przy sobie.

Podczas kiedy mężczyzna niespokojnie i trwożnie oddychając włókł się ku matowej tafli rzecznej, zeszywała szybko pęknięty worek, nie chcąc go jednocześnie w półmroku zszywając z połą kaftanu swego męża.

Ten, stanawszy u brzegu rzeki, po chwili wahania rzucił z impetem worek z nieboszczykiem w nurty wodne. Lecz trup zabitego szarpnął go wściekle ku sobie. Przez jedno okamgnienie mężczyzna trzymał jeszcze głowę ponad falami. Wytreszczonymi przeraźliwie źrenicami wpił się w twarz krzyczącej w niebogłose kobiety. Otworzył usta, chcąc wołać ratunku, ale woda wnet załapała mu gardło.

Nieubłagany w akcie swej zemsty trup zamordowanego pociągnął go na dno rzecznej za sobą.

Tium. Jotsaw.

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, 27 listopada 1927 roku.

Nr. 48.

„Dar poranka” w Teatrze Miejskim.



W dniu 12. b. m. Teatr Miejski w Łodzi wystawił pogodną komedię w 3-ach aktach Joachima Forzana, która niefrasobliwą akcją przypomina pełen uroku „Świt, dzień i noc” Nicodemiego.

Na zdjęciu fragment I-go aktu, przedstawiający scenę, której akcja toczy się w małej prowincjonalnej apteczce włoskiej.

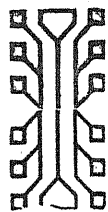
TEATRALJA.

Premjery warszawskie. — O instytucji... klaki słów kilka. — Kompozytor w roli prelegenta. — Z anegdót teatralnych.

Tym razem tylko drobiazg jest do zanotowania z repertuarów teatrów warszawskich. Mianowicie — premjera starej farsy Hennequina i Vebera p. t. „Nie wywiódł jej w pole...“ — w Teatrze Letnim (nieco egzotycznie brzmi to ostatnie słowo podczas chłódów dzisiejszych). Naturalnie, jak to zwykle w starej farsie francuskiej bywa, bo haterem akcji scenicznej jest... trójkąt małżeński i różne, związane z nim powikłania. Nowym — do pewnego stopnia — motywem jest w tej krotce walka dwóch ambicji, męża i żony, z których każde boi się, jak ognia, wystrychnięcia na dudka. Wszystko to w rękach tak rutynowanych majstrów farsowych, jak Hennequin i Veber staje się dość zabawne i wesołe, choć przypomina raczej teatr marionetek, aniżeli przeżycia prawdziwych ludzi. Główne role grają Fertner (po powrocie z rocznego przeszedł dobrowolnego „urlopu“) oraz Goryczyńska, czyniąc niewybredną historyjkę francuską możliwą do wysłuchania i — zapamiętania.

W związku z zajęciem, jakie miało miejsce w operze wiedeńskiej pomiędzy policją a jednym z dyrygentów tamtejszej „klaki“, doszło do procesu sądowego, który ujawnił nader ciekawe metody „pracy“ zawodowych „entuzjastów“ i sposoby ich dość intratnego nawet zarobkowania. Jak się okazało, zawód klakerski tworzy zwarcią i zdecydowaną na wszystko organizację, która w stosunku do aktorów i śpiewaków nie cofa się bynajmniej przed — wymuszeniem. Biada artyście, który pogardzając sztucznym, klakerskim powodzeniem, pozwolił sobie nie liczyć się z domaganiami reprezentantów „zaszczytnej“ organizacji, odmówił im miejsc gratisowych, żądanego wynagrodzenia itp. Gra takiego artysty będzie z pewnością przerywana hałasami, kaszlem, wykrzyknieniami, a wszelkie życiowe owoce — zakłócone bardzo głośnymi oznakami sprawnie zainscenizowanego niezadowolenia.

Oczywiście, walka z „klaką“ jedynie przy pomocy środków policyjnych nie może odnieść pożądanego skutku. Niezbędny jest w tej walce czynny udział samych artystów, od nich bowiem przede wszystkim zależy wytepienie plagi klakerskiej, dając się mocno we znaki w najbardziej nawet pierwszorzędnym teatrze. W rzeczywistości jednak — niewielka tylko ilość artystów (z natury łaknących owacy i oklasków) potrafi się zdobyć na siłę charakteru i odwagę względem zawodowców klaki. Większość — choćby dla świętego spokoju — liczy się w mniejszym lub większym stopniu z organizacjami klakerskimi i ulega ich roszczeniom, mającym oczywiście korzyści materialne na widoku. Charakterystycznym w tym względzie zdarzeniem jest przykład pewnej śpiewaczki operowej, która, śpiewając jedną z partii na premjery opery Korngolda „Cud Heliany“ nietylko zamówiła sobie owacje klaki, ale nawet



Teatr Kameralny w Łodzi zainaugurował sezon wystawieniem 3-aktowej komedji Ludwika Verneua p. t. „Azais“, z gościnnym występem K. Junoszy-Stepowskiego w roli barona Würza.

wskazała dokładnie... miejsce operowego tekstu, w którym miał „żywiłowy entuzjazm“ wybuchnąć. W egzemplarzu libretta, należącym do wodza klaki, niejakiego Steiglitz, znaleziono miejsce to bardzo do kładnie zaznaczone i podkreślone.

Na temat tych awantur klakerskich tak się zwierza dyr. opery wiedeńskiej, Schalk w jednym z dzienników miejscowych: „Moim zdaniem, klaki wytepić doszczętnie niepodobna. Egzystuje ona od czasów Woltera, a jeśli się nie mylę, już Juliusz Cezar posługiwał się nią przy swoich oracjach triumfalnych. Mimo to wszakże uważam, że korzystanie z usług klaki jest niegodne instytucji tak poważnej, jak opera. Nie widzę jednak żadnego środka zaradczego, gdyż artyści nigdy nie zechcą stać się ofiarami wybryków i szykan niezadowolonych klaki. W operze berlińskiej klakę naogół wytepieno, gdyż zerwano tam stanowczo ze zwyczajem ukazywania się artystów przed rampą po skończonym akcie. Droga ta nie wydaje mi się jednak właściwą, gdyż prowadzi ona do sparaliżowania zapachu artystów i entuzjazmu publiczności“.

Miarodajna ta opinia nie jest jednak, jak widzimy, dość kategoryczna, a — co najważniejsze — nie wskazuje sposobu walki z nadużyciami i wybrykami organizacji kla-

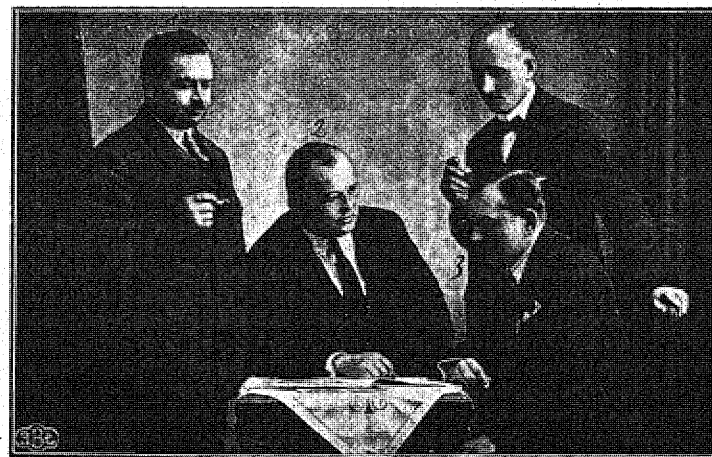
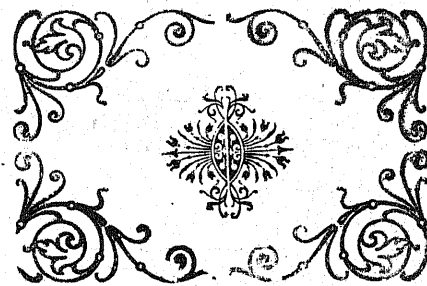
kerskich. Świadomość zaś konieczności tej walki nie może być nikomu obcą.

Wystawiona na jednej ze scen niemieckich modernistyczna i sensacyjna opera Ernesta Kreneka „Jonny przygrywa“ („Jonny spielt auf“) wywołała bardzo wiele ataków sprzecznych sądów i za trzezeń pod adresem kompozytora. Pragnąc się wytłumaczyć i niejako uwieścić, Krenek wygłosił w Cassel odczyt, poświęcony w całości rozbirowi opery, oczywiście z punktu widzenia autora. Odczyt ten, po za tem, był w równej mierze krytyką krytyków opery, jak gwałtownym wystąpieniem przeciwko współczesnym reżyserom niemieckim, którzy, zdaniem prelegenta, są tylko „de magami i rzemieślnikami rewji“. Dlatego — to właśnie i z opery Kreneka, na skutek prześladowania jej szczegółami i efektami technicznymi, uczyniono coś w rodzaju pospolitej rewji. Kompozytorowi zaś zależało tylko na tem, aby dać widowisko żywe, interesujące, wywołujące oddźwięk publiczności. Przy pomocy „jazz-bandu“ pragnął, mówił Krenek, wznieść publiczność w wyższe rejony. Trzeba jednak uwzględnić również poważne elementy opery — mając przytem na uwadze, że sztuka niekoniecznie musi być równoznaczna z — nudą. Chodził przecież o to, aby pozyskać dla teatru mi-

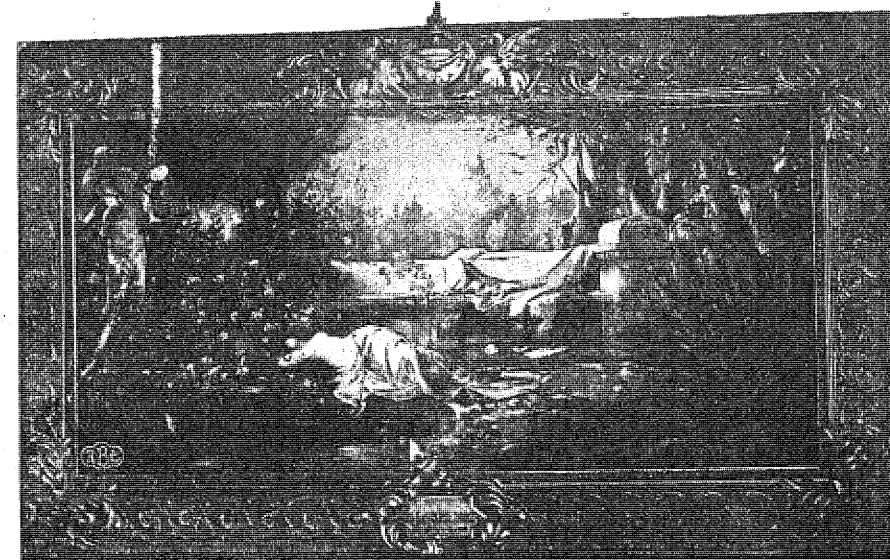
jony nowych zwolenników. Krenek bromi się przed zarzutem niestosowności jazz-bandu w operze, wskazując na gawot i mazurek w „Don Juanie“ Mozarta albo na walc w „Kawalerze z różą“ R. Straussa. Co do jazdy samochodowej i scen na dworcu (i tego nie brak w operze Kreneka), przyrównuje kompozytor te niezwykle efekty do — dyliżansu pocztowego w „Fra Diavolo“, do dzid i mieczów w „Lohengrinie“. Muzyka, zdaniem Kreneka, nie powinna sobie usurpować głównego miejsca w operze. Zresztą, tłumaczył się prelegent dalej, nie brzmi ona tak strasznie, jak można to było spodziewać się po nim, uchodzącym, nie bez słuszności, za zwolennika atonalności.. Oryginalna, doprawdy, opera i jeszcze oryginalniejszy jej twórca...

Głośny w swoim czasie komedjopisarz francuski, Scribe, otrzymał pewnego razu list od jakiegoś żądnego laurów literackich bankiera. Jegomość ten, ofiarując dowolne honorarium, prosił Scribe'a, aby mógł umieścić parę własnych zdań w jednej z przygotowywanych przezeń komedji, następnie zaś — aby na afiszu, obok nazwiska Scribe'a, figurowało również nazwisko bogatego grafomana, jako współautora. Scribe odpisał krótko na tę bezczelną propozycję, dodając w zakończeniu listu, iż, zdaniem jego, nie należy „zaprzęgać do jednego wozu konia i osła“. Wkrótce nadeszła odpowiedź bankiera, bynajmniej nie tak niedorzeczna, jak możnaby się spodziewać. „Otrzymałem, — pisał bankier — pański zuchwały list i przyjmuję go do wiadomości. Ale dlaczego i jakim prawem nazywa mnie Pan — koniem!?“ Na tem interesująca korespondencja została oczywiście przerwana

Delta.



W Wiedniu odbył się zjazd inwalidów z wojny światowej. Zdjęcie nasze przedstawia delegację polską w osobach pp. Ludwika Stacheckiego i Marjana Kantora z Warszawy, Aleksandra Dackowa z Krakowa oraz Emila Kleimera z Wiednia.



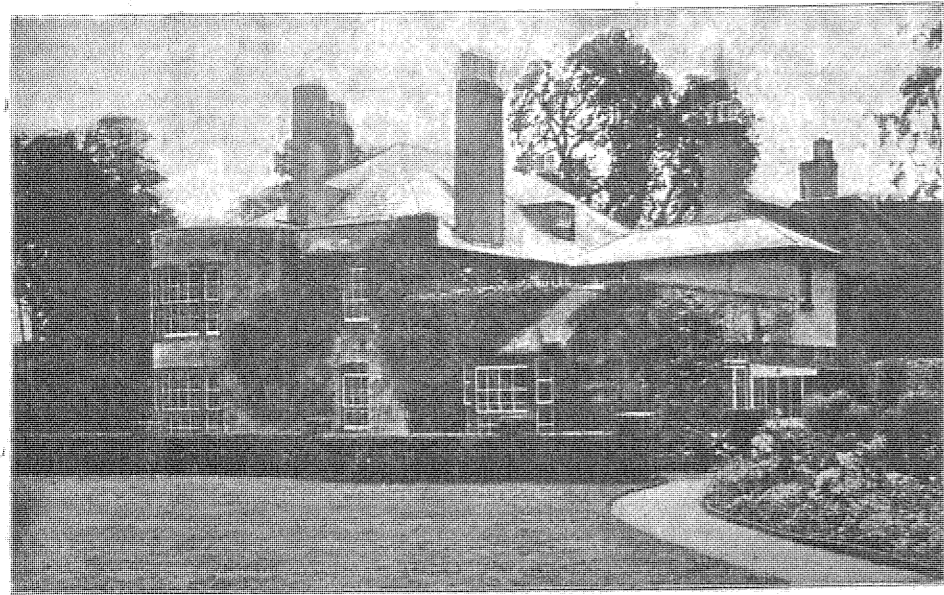
Z Miejskiej Galerji Sztuki. Piękny obraz pędzla Fr. Zmurki „Na rozkaz imperatora“.



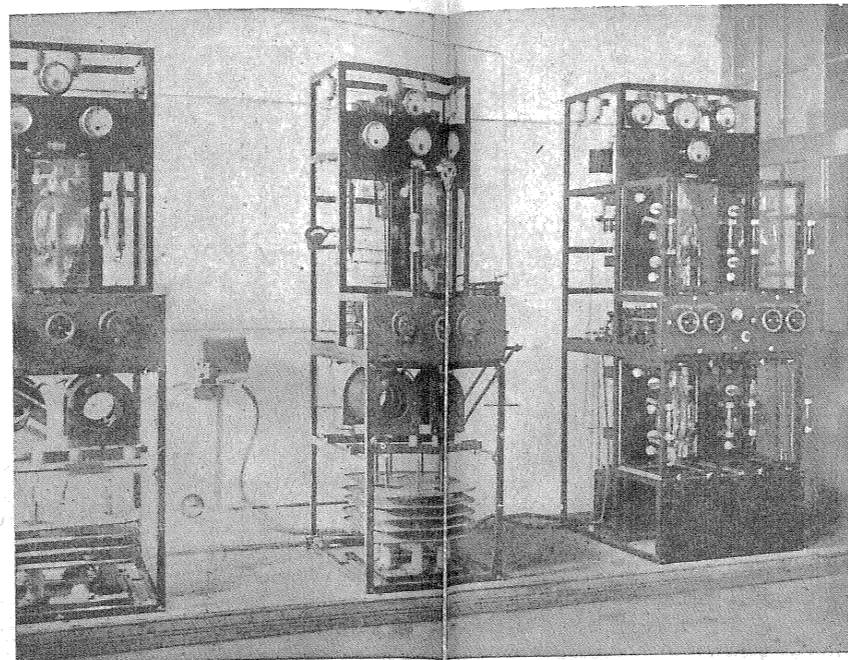
Trzecią rocznicę objęcia granic wschodnich przez K. O. P. uczczono w bieżącym miesiącu w Zaosiu odłonecznym obeliską z podobizną Adama Mickiewicza. Na zdjęciu em. generał Karaś, syn ziemni nowogródzkiej, w głębi zaś sztandar Młodzieży w Soplicowie.



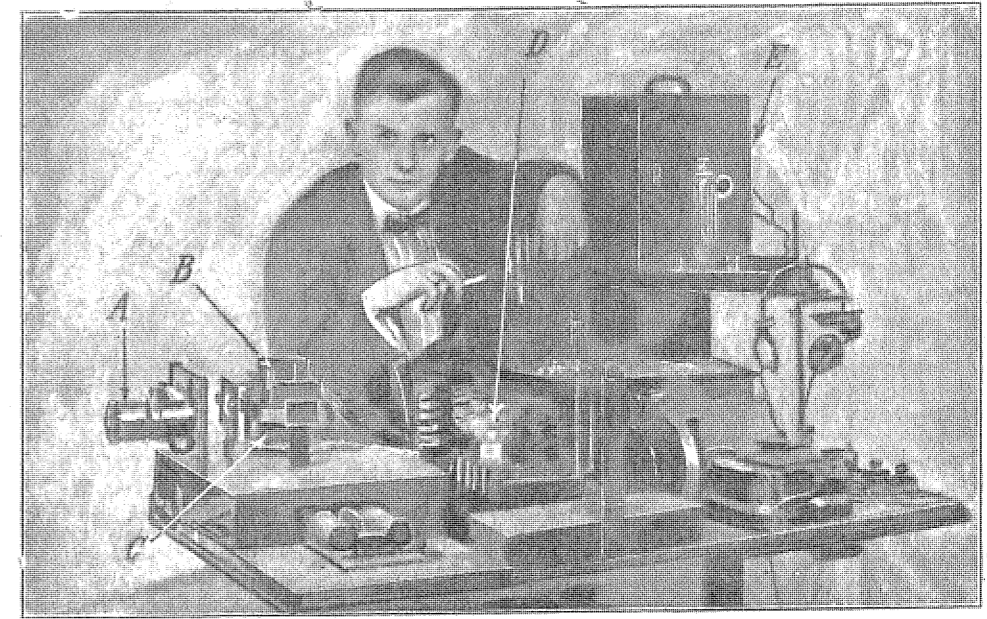
Droga sercom polskim pamiątka. Na zdjęciu obecni mieszkańcy, zamieszkujący zagrodę rodziny Adama Mickiewicza w Zaosiu.



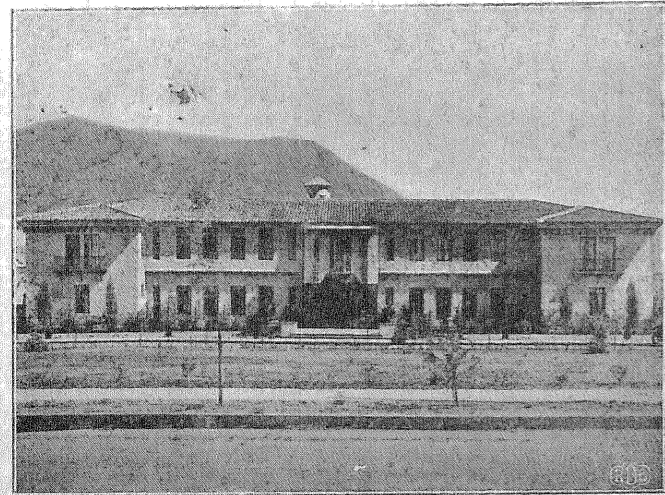
Dom Conrada (Korzeniowskiego) w Bishensbourne — Kent w Anglii.



Stacja modułów radiowych.



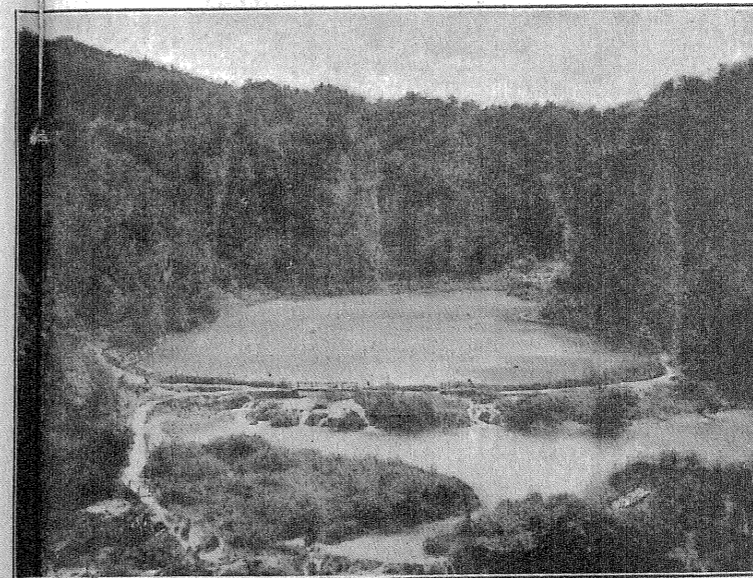
Aparat umożliwiający widzenie na odległość.



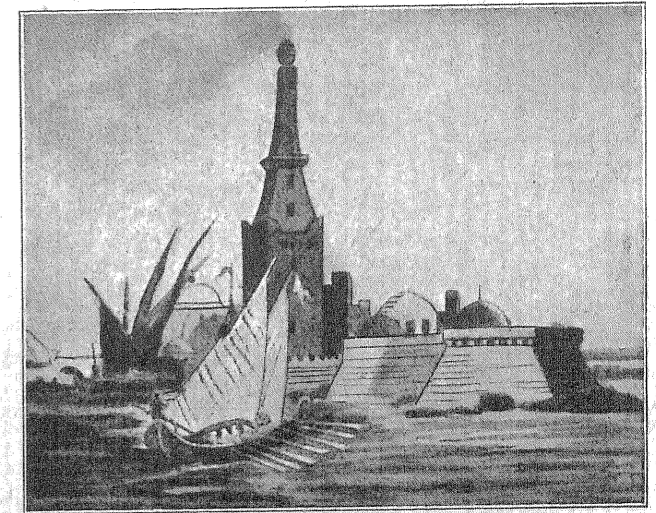
Filmowe wytwórnie amerykańskie w Kalifornii.



Chinka przy pracy.



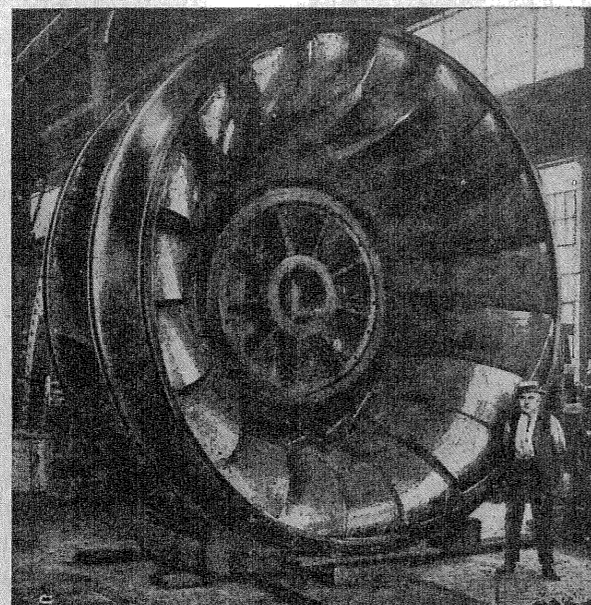
Piękne jezioro jugosłowiańskie, Kaludierowac.



Latarnia morska w Aleksandrii.



Conan Doyle na tle zjawy swego zmarłego syna.



Największa na świecie turbina, zbudowana w Ameryce.



Sen o wojnie gazowej. Skład torped i bomb z gazami trującymi.



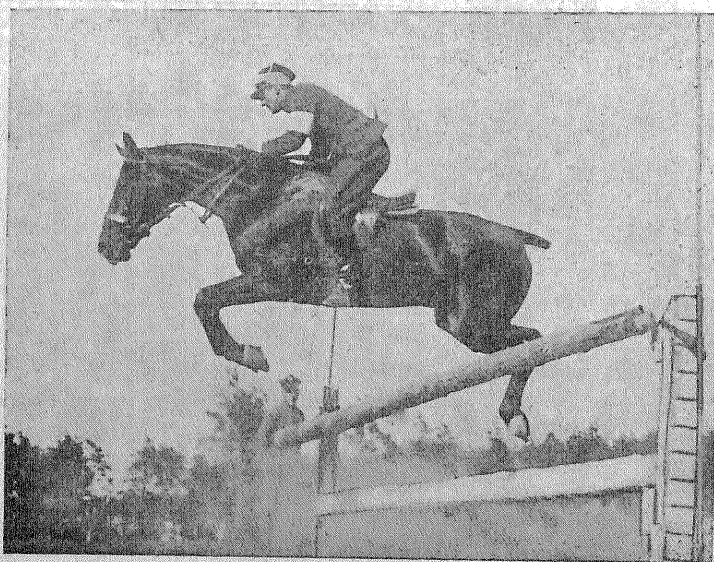
Medium, wydzielające podczas seansu hekto plazmę.



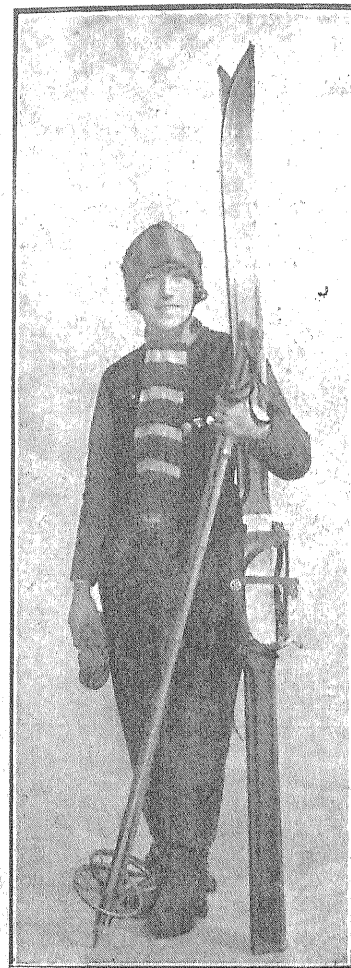
Sezon narciarski w Zakopanem w pełni.



Najmłodszy narciarz z zapałem uprawia ten rodzaj sportu.



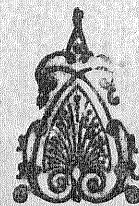
Por. Starnawski, jeden ze zwycięzców na międzynarodowym konkursie hippicznym w Nowym Jorku.



Janina Loteczka, mistrzyni Polski w narciarstwie.



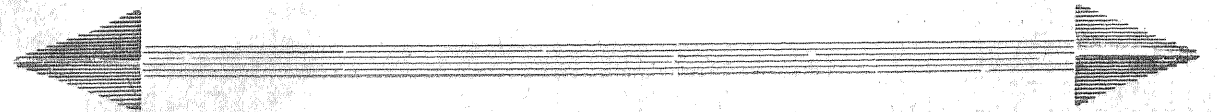
Lonka (Cracovia) rekordzistka świata w rzucie oszczepem. „Start”



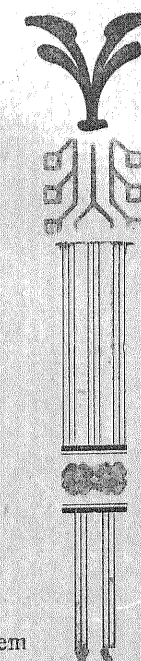
Kino-teatr „Casino” w Łodzi wyświetla obecnie potężny film, odtwarzający wczorajszą, dzisiejszą i przyszłą Łódź p. t. „Ziemia Obiecana”, według powieści Wł. St. Reymonta. Na zdjęciu jeden z fragmentów tego filmu.



Marja Malicka słucha audycji radiowych w swym buduarze.



Przysposobienie wojskowe kobiet. Z karabinem na warcie.



Epokowe arcydzieło, film p. t. „Noc miłości”, opiewający straszne „prawo pierwszej nocy”, wyświetlany obecnie w kino-teatrze „Splendid” w Łodzi.



Magiczne Koło.

Poomacku wchodzi na schody. Właściwie to curiosum! Wieczorem — sama jedna — do mieszkania obcego, samotnie żyjącego swawolnika. Hm, obcy? Zapewne, ale swawolnik? Ociemniały filozof z apostołską brodą, on — swawolnik?

Teraz Gitta stoi przed grubo ciosanym drzwiami. Rozum ostrzega bezustannie: Rzeczywiście: dom stoi na uboczu, mężczyzna jest w danej chwili sam, wszyscy bowiem ze wsi i zamku podążyli na pogrzeb ś. p. proboszcza. Ba, to ją właśnie kociło, żeby dziś, właśnie dziś, pustelnika odwiedzić. Z litości — boć, bądź co bądź, ślepy. Z ciekawości — gdyż uchodzi za oogacza. Dla figła — bo ciotka Polda gniewałaby się.

Stoi o drzwi wsparta. Otóż masz! — serce jej musiało bić bardzo głośno: ktoś drzwi otwiera.

— To pani, hrabianko? — rozlega się tenorowy głos Auera o ciemności.

— Tak, ja. Chciałam pana odwiedzić. A może przeszkadzam?

— Ależ proszę! Wcale nie. Czytałam właśnie. Ale teraz zapalę światło.

Wnet płomyki świec oświetlają pokój o grudniowej temperaturze. Olbrzymi stół panuje nad innymi meblami.

— Już! Niechże pani siada! Nie zdejmując okrycia! To jest to palto z wytłaczanej materji z oposowem obszyciem, nieprawdaż? Słyszę, że pani skinęła główką. Kiedyś panią dotknąłem.

Przygląda mu się bacznie. Broda co prawda zbyt szpecinowata, a nos trochę zadarty, ale za to czoło nad ciemnymi blizniaczkami szklami tchnie szlachetną wyższością.

Auer mówi o przyczynie swego nieśczęścia. Z ust mu się wyrzywa imię „Lili“. Coś, jak skarga czy przekleństwo w głosie. W wyobraźni Gitty majaczy mglista postać wyzywająco pięknej, egoistycznej kobiety.

Lecz gościnny Auer śpieszy zmienić niewesoły temat. Mówi, bezustannie, zeskakując z przedmiotu na przedmiot, aż wreszcie kończy smutnie:

— Mówię bez przerwy, bo właściwie obawiam się paury, któraby pani wykorzystała, aby odejść sobie!

Gitta uspakaja go. Nie śpieszy się. Tyle zgiełku dla jednego nieboszczyka! Obejdzie się tam bez niej. Chętnie dłużej tu zostanie, ale musi jej za to powiedzieć, co ten hieroglif na stole znaczy? Aha! Reliefowa mapa środkowej Europy! Auer sam ją zrobił z kartonu i wosku. Objaśnia Gittę z zapalem. Każde jej oddzielne miejscowości wyszukują i nie posiada się z radości, kiedy ona o jaką kopę mił się omyli. Chwyta ją za rękę. Obłudnik! Udaje, że chce Gittę pouczyć. Gitta odpycha jego dłoń.

— Nie mogę się pani odwiedzinom dość nadziwić — mówi niezręcznie Auer. Jest bowiem zmieszany.

— Czy pani często robi takie eskapady? Chciałem się właściwie dowiedzieć, czy pani lubi wybryki, hrabianko?

— Nie powinnam była przychodzić — myśli Gitta.

— Gdyż, Bogiem a prawdą powiedziawszy — brnie Auer dalej — jest to przecież ryzyko, czym hazardowny, nieprawdaż?

— Hm, niezdar! — Gitta wymyśla mu w duchu. Głośno zaś mówi:

— Panie Auer, któżby się mógł pana obawiać!

Żle zrobiła, kładąc nacisk na słowo „pana“. Auer bowiem podchwycił natychmiast:

— Dlatego, że jestem ślepy?

Nastaje pauza. zbyt długa! Gitta nie może znaleźć odpowiedzi. Auer wybucha szorstkim śmiechem. Nagle odzywa się poważnie i despotycznie:

— Zabawmy się w ślepa babkę. Pani skończyła już dwadzieścia lat?

— Oczywiście, panie Auer. Osobliwy z pana człowiek!

Nie! Teraz zaczyna być nieznosny! Zakradł się do drzwi, zamknął je na klucz, wyjął klucz z zamku i do kieszeni wkłada.

Gitta, opierając się łokciami o reliefową mapę:

— Oryginał z pana, panie Auer!

Auer milczy. Gitta patrzy: kraj na którym trzyma łokcie, to Polska. Śmieje się nerwowo. Auer powoli zbliża się do niej. Cień jego głowy pada na Lombardję. Gitta cofa się. Auer idzie za nią. Poczem staje, wietrzac.

— Pan mnie nie złapie! — żartuje Gitta dreszcz ją przejmując.

Auer biegnie ku niej. Gonia ją. Prawie, że ją dopędził. Gitta wymyka mu się. Znowu o mało mu w ręce nie wpadła. I tak w kółko. Zderzenie. Ucieczka. Zwrot uderzeń.

Teraz goni ją w krag, ciagle w krag. Palcem gasi światło. Na dnie jej przestachu tleje ciche pragnienie. Dusci się nie-

mal w ciemności. Och, jego obuwie skrzypi tuż, tuż, tuż. Słyszy jego przyspieszony oddech. Wymyka się. On zbliża się z drugiej strony. Nie, z pierwszej! Z obu jednocześnie! Trwoga ją przejmując. Drży o swe dziewictwo. To jej dodaje siły. Całym ciałem wywraca stół, barykadując Auera. Wyskakuje przez okno, rękami trzyma się ramy. Pokrwaiała sobie o drzewo dłoń. Odwraca głowę; mierzy odległość do śnieżnego wału nagromadzonego pod oknem. Podnosi czoło. Auer stoi nad nią. Ich twarze stykają się niemal. Gitta chce grozić. Jego broda kluje ją w twarz. Z krzykiem puszcza ramę i pada w niebieskawo-biały śnieżny puch.

Wydobyla się zeń. Dotyka członków. Całe. Uczucie triumfu ją ogarnia. W dali brzmi muzyka.

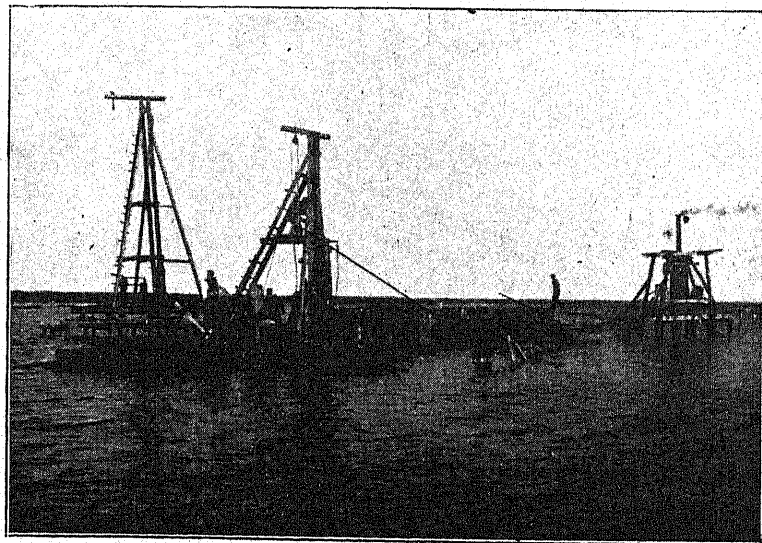
— Hurra, hurra! — wtóruje jej oswojona.

Księżyc z za gór wygląda. Wieś cicho usypia, w miękkim śniegowym całun spowita. Srebrną poświata muska jodły na zboczach górskich. Bezkresny czar krajobrazu... Gitta nie wie, co się z nią dzieje, bo nagle dobry jej humor prysł. Triumf przygasł. Litość jego miejsce zajęła. Czyż tylko litość, współczucie? Z powodu Lili oślepi! Świat dlań niewidzialny... na zawsze! Niepojęte! Czy można żyć bez światła w oczach? Tyle życia, temperamentu, ognia w cieniach nocy!

Dzielny mężczyzna! Jak on to kalectwo mężnie znosi! A szczęście w postaci Gitty, co się doń na chwilę zbliżyło — pierzchno... Szczęście, które należy mu się, a którego nie ma... przez okno wyskoczyło, jak nierozważne, płochę ptaszko...

Gitta poomacku wchodzi na schody. Na dnie jej cichego pragnienia czai się groza... Stoi o drzwi wsparta... Otóż masz! Serce jej musiało bić bardzo głośno... Ktoś drzwi otwiera....

Tłum. Jotsaw.



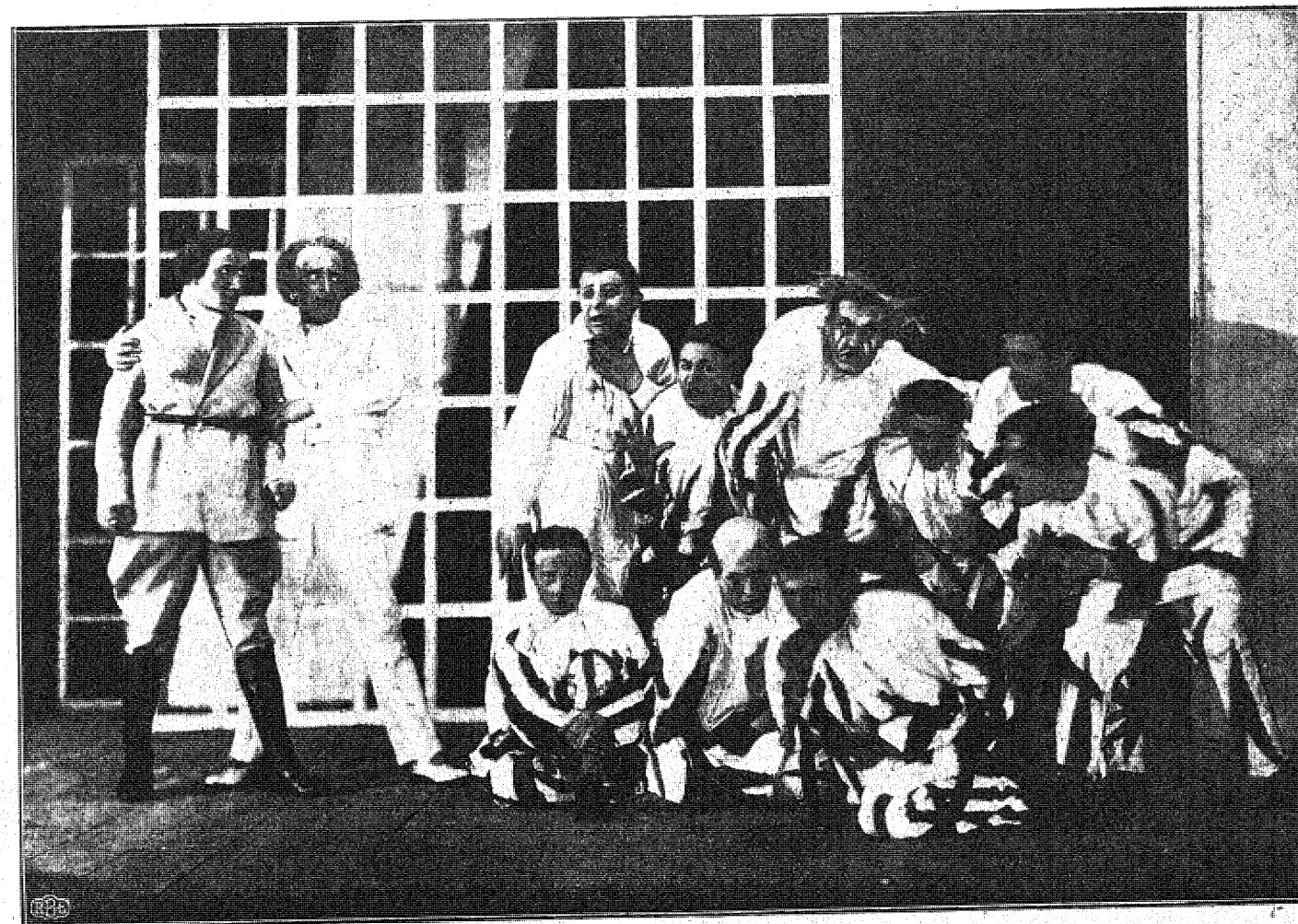
Port rybacki w Jastarni.



Rok IV.

Łódź, dnia 4 grudnia 1927 roku.

Nr. 49.

„Peer Gynt” w Teatrze Miejskim.

W dniu 24 ub. mies. Teatr Miejski w Łodzi wystąpił z niecodziennym widowiskiem, pełnym barw i światła, prowadzącym widza poprzez nadziemską krainę fantazji do twardego realizmu życia — poematem dramatycznym p. t. „Peer Gynt“ — Henryka Ibsena.

Na zdjęciu powyższem widzimy niesamowitą scenę z obrazu 8-go — dom warjatów oraz Peer Gynta odwiedzającego pacjentów w towarzystwie doktora zakładu.